

# POLSKA

## Musimy mieć dostęp do informacji

Wiktor Świetlik

2010-02-27 12:03:52, aktualizacja: 2010-02-27 12:09:34

**Mimo jasnego prawa instytucje publiczne ciągle znajdują sposoby, by nie odpowiadać na niewygodne pytania.**

W styczniu 1966 roku nad hiszpańską wioską Palomares amerykański bombowiec strategiczny B-52 zderzył się z samolotem cysterną podczas trudnego manewru tankowania w powietrzu. Cała załoga zginęła na miejscu, a w dół poszybowwały cztery bomby wodorowe zawierające dostateczną ilość materiału, by w przypadku wybuchu zamienić pokaźną część Andaluzji w radioaktywną pustynię. Na szczęście ładunki nie były uzbrojone, ale w wyniku ich zderzenia z ziemią w promieniu wielu kilometrów rozsypał się radioaktywny materiał.

Sprawa dotyczyła dwóch rządów - reżimu generała Franco i rządu USA. Frankistowska, cenzurowana prasa nabrała wody w usta, bagatelizując wypadek. Amerykanie zaczęli poszukiwać zagubionych ładunków, wywozić do siebie skażoną glebę i przygotowywać udaną kampanię informacyjno-propagandową w obliczu coraz większej dociekliwości światowej prasy, na której czołówki katastrofa przebiła się kilka dni później.

Katastrofa w Palomares przyczyniła się także po części do tego, że kilka miesięcy później pod wpływem mediów uchwalono Freedom Information Act - ustawę zapewniającą dostęp do wszelkich tych informacji związanych z działalnością administracji, które nie są uznane za informację tajną.

W przeciągu kolejnych 40 lat dzięki amerykańskiej ustawie o dostępie do informacji media mogły poznać szczegóły choćby niemal identycznej katastrofy, która wydarzyła się dwa lata później na Grenlandii. Telewizja Bloomberg pozwała dwa lata temu do sądu System Rezerwy Federalnej za nieujawnianie informacji o przeprowadzanych operacjach, zaś "The New York Times" wytoczył wojnę tajnym służbom za Busha, które monitorowały komunikację, mejle niektórych osób bez wcześniejszego nakazu sądu.

**Mimo jasnego prawa instytucje publiczne ciągle znajdują sposoby, by nie odpowiadać na niewygodne pytania.**

Dziś podobne ustawy jak USA ma większość krajów europejskich (niektóre - jak Skandynawowie - dużo, dużo dłużej). Ale problem z ich respektowaniem jest ogromny. Pocieszać się możemy, że nie tylko u nas, i nie tylko w krajach byłego bloku wschodniego. Brak jakichkolwiek tego rodzaju rozwiązań choćby w demokratycznej od ćwierć wieku Hiszpanii powoduje, że urzędnicy mają zupełną dowolność w ujawnianiu informacji - mogą dziennikarzowi przekazać, co chcą. Efektem jest to, że media mogą pracować tylko na nieoficjalnych źródłach, a więc są nader łatwe do zmanipulowania.

Na tym pocieszanie się kończy. Teoretycznie w Polsce dostęp do informacji nie tylko dziennikarzom, ale wszystkim obywatelom gwarantują konstytucja i ustawa powszechnie uznawana

przez specjalistów za bardzo dobrze skonstruowaną. Problem z jej wykonaniem. Centrum Monitoringu Wolności Prasy przeprowadziło niedawno badanie dostępności informacji publicznej. Doktor Bogusław Feder, współkoordynator badania, stwierdza jednoznacznie: - Problem leży w mentalności urzędników, strachu przed udzielaniem informacji.

Ta kultura tajności to często parawan dla niewiedzy, strachu przed odpowiedzialnością. Najczęstsza praktyka, z którą spotykali się ankieterzy - petenci, to odsyłanie od drzwi do drzwi, wysyłanie do rzecznika lub zasłanianie tajnością. Co zabawne, często urzędnik mógłby mieć dużo mniej pracy, gdyby po prostu sprawdził, czy informacja jest dostępna w internetowym Biuletynie Informacji Publicznej, i odesłał do niego.

Niestety kultura top secret zaczyna się na dole, a kończy na górze. W gminach i małych instytucjach dość częste jest cedowanie całej działki kontaktu z mediami na rzecznika lub kilka wyznaczonych osób, a tym samym zabranianie rozmów reszcie, co jest w pełni niezgodne z prawem prasowym. Problem w tym, że z ustawą nie lepiej bywa na samej górze.

Krystyna Mokrosińska, szefowa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, zwróciła się niedawno do szefa MSWiA z prośbą o interpretację ustawy o dostępie do informacji publicznej. Dokładnie chodziło o to, czy w mediach publicznych obowiązuje jawność i konieczność uzasadniania przed opinią publiczną decyzji kadrowych tak jak w innych spółkach Skarbu Państwa. Wydawało się, że pytanie jest proste, a ustawa jasno to formułuje. Ale ministerstwo wydało z siebie długi ogólnikowy bełkot opisujący ustawę, a na koniec odesłało Mokrosińską do sądu. Co zabawne, z jawnością informacji mają problem same sądy. Szef tarnowskiego sądu proszony o listę spraw toczących się przeciwko dziennikarzom odpowiada w rojąącym się od błędów liście, że nie ma na to środków i czasu.

Jak sobie z tym radzić? Niestety najprostsza rada brzmi: odwoływać się do sądu, jest to droga długotrwała, ale raczej gwarantująca sukces. Choć czasem może wystarczyć samo postraszenie urzędnika tym, że mamy świadomość przysługujących nam praw. To ostatnie byłoby o wiele skuteczniejsze, gdyby w Polsce istniały realne sankcje za nieudostępnienie informacji i sankcje te nie dotyczyłyby państwa generalnie, a byłyby spersonalizowane - ponosiłaby je ta osoba, która odmówiła dostępu.

Realnym problemem jest też to, że zarówno obywatele, jak i dziennikarze nie znają dziś często swoich praw. Szkoleniem jednych i drugich, a także walką o dostęp do informacji w całej Europie zajmuje się dziś między innymi organizacja Access Info. Na warsztatach organizowanych przez nią i Fundację Konrada Adenauera kilka dni temu zobaczyłem na żywych przykładach, jaki wpływ na losy swoich krajów mogą mieć ludzie, którzy decydują się na walkę o dostęp do informacji publicznej.

Taki chociażby, jaki miało Centrum na rzecz Dziennikarstwa Śledczego z Sarajewa ([www.cin.ba](http://www.cin.ba)). Organizacja pozarządowa, która doprowadziła do dymisji byłego premiera Bośni i Hercegowiny Nedžada Brankovića. Udało się to między innymi dzięki wywalczonemu akcesowi do informacji publicznej. Premiera oskarżono o różne złe praktyki, ale najgłośniejszą stał się zakup luksusowego apartamentu w Sarajewie za niecałą jedną pięćsetną rynkowej ceny. Jak mówi Leila Bićakčić z Centrum, łatwo nie było. Na walczącą ze skorumpowanym szefem rządu organizację spadały między innymi kolejne kontrole finansowe.

Na temat wszystkich spraw związanych z dostępem do informacji, kiedy jego wywalczenie pomogło dziennikarzom śledczym w Bułgarii, można by napisać kilka książek. Dzięki dostępowi do archiwów tajnych służb niestrudzony dziennikarz Christo Christow przedstawił bardzo mocne dowody na to, że w 1978 roku bułgarski wywiad zamordował na londyńskim moście Waterloo

Georgija Markowa z BBC i Radia Wolna Europa. Okoliczności zamachu bardzo przypominały niedawną śmierć Aleksandra Litwinienki - truciznę wstrzyknięto z parasola. Bułgarskie służby do niedawna zaprzeczały, jakoby była to robota ich komunistycznych poprzedników. Ale po kolejnych książkach Christowa wpierw śledztwo wznowił Scotland Yard, a potem Sofia.

To tylko kilka z wielu przykładów. Walka o pełny dostęp do informacji publicznej to nie tylko kwestia jakiegoś abstrakcyjnego prawa obywatelskiego albo tylko komfortu obsługi w urzędzie. Tak naprawdę zawiera w sobie wszystko, co składa się na jakość rządzenia. Lepsza kontrola administracji oznacza mniejszą korupcję, lepszą skuteczność, mniejsze marnotrawstwo, szybsze działanie, konieczność koncentrowania się na pracy nad tematami, które stanowią rzeczywiste i najbardziej palące potrzeby. Oczywiście nie wszyscy są fanami tego wszystkiego. Dlatego walka wciąż trwa.